№ 37. Wilno, dnia 6 Grudnia 1925 r. Rok I.



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

W. Dalewska.

PIERWSZY ŚNIEG.

Na delikatną ruń ozimin
Poprószył pierwszy śnieżek biały;
Przejął on smutkiem biedne dziatki,
Ptaszki też trwożnie zaćwierkały.

„Co jeść będziemy“ — wróbel gada —
„Niema nic nigdzie dookoła“.
Nie bój się — inny odpowiada —
Nie darmo przecież u nas szkoła!

Uczą tam dzieci, by karmiły
Biedne ptaszęta w czas zimowy.
Siedząc na płotku, podsłuchałem —
Niejednej takiej już rozmowy.

Tak stary wróbel cieszył małe,
Bo wierzył w dobroć polskich dzieci.
Nie zapomnijcie więc o ptaszkach,
Gdy śnieżny puszek z nieba leci.....

Ludwika Życka.

NASZA ZNAJOMA.

Urodziła się daleko, w lasach ziemi Mińskiej aż koło Borysowa. Z początku była maleńką, jak wszyscy po urodzeniu. Ale gdzieś w starych księgach wyczytano przepowiednię, że gdy się zacznie ruszać, to wyrośnie na długość 60 mil; a gdy zacznie pić pożyteczne soki i wody ziemi, to sił tyle nabierze, że podejmie i poniesie takie wielkie przedmioty, jak łodzie rybackie i statki parowe.

Ludzie ją nazwali Wilją, na pamiątkę, że jest wielką i wolną.

Rosła Wilja pięknie i ruszając się płynęła prędko i była przejrzystą, że aż wszystkie kamyki i trawki na dnie jej widać było.

Zamieszkały w niej wąsate raki, i różne wielkie i małe rybki, i wszystkim tam było dobrze.

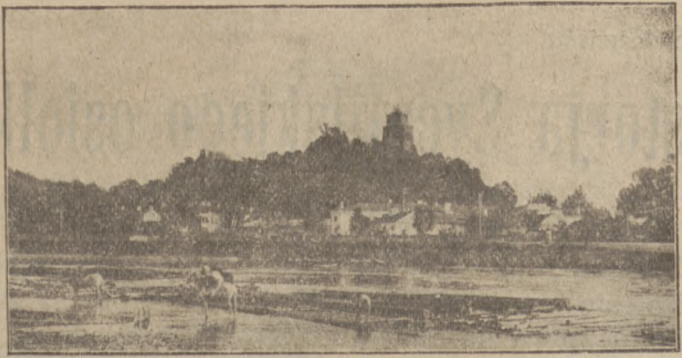
A że Wilja była przyjemną więc różne sąsiadki i sąsiedzi z daleka zbiegali się do niej. Serwecz, Stracz i Narocz przypłynęły do Wilji i połączyły z nią swoje losy. Zobaczyły to inne rzeczki: Szyrwinta, Mussa, Usza, Oszmianka, Żejmianka i Waka i na wyścigi zbiegły się do Wilji przynosząc jej swoje wody.

A ona najwięcej sobie upodobała żwawą Wilenkę, którą niektórzy nazywają Wilejką, i przytuliła ją do siebie wśród wielkiego i pięknego miasta Wilna.

Wtedy piękna Wilja zrobiła się tak silna, że poczęła dźwigać parostatki do Werek i Niemenczyna. Setki łódek motorowych i rybackich popłynęły na jej falach, a młodzież z Żodziszek, z Bystrzycy, z Kiernowa i z wielu miasteczek i dworów, wprawiała się dzielnie w wiosłowaniu, pieszcząc wody pięknej, kochanej Wilji kolorowemi wiosłami. W ciepłe wieczory letnie, o zachodzie słońca, z łodzi leciały po falach wody tony pieśni „Wilja naszych strumieni rodzica", przypominając młodym śpiewakom i okolicznym mieszkańcom, że te słowa napisał największy polski poeta Adam Mickiewicz, który w Wilnie mieszkał i uczył się, a Wilję naszą bardzo ukochał.

Płynęły lata; Wilja rosła i pięks niała. Wody jej zaczęły odbijać chaty, dwory, kościoły, pałace i miasta, które pokryły jej brzegi. Ludzie chcieli mieszkać nad brzegami jej; gdyż wszystkim było tu dobrze.

Wilja podobała się wszystkim. Wpatrzył się w nią Niemen—sąsiad, i wziął ją sobie za żonę. Razem złączeni oboje popłynęli do Ojczyzny wszystkich wód, do wielkiego morza. Ale znaleźli się zazdrośnicy, co postanowili obie



Góra Zamkowa i brzegi Wilji w Wilnie.

rzeki pokłócić i małżeństwo rozdzielić. Różne podziemne rzeczki zaczęły znosić do Niemna i Wilji muł, gruz, błoto, kamienie, zgniliznę starych pni, i wody obu pięknych rzek zmętniały. Zabrudziły się. —

Przestały płynąć i nie mogły już żyć w spokoju, wszystko psuła niezgoda.

Ludzie poszli do starych ksiąg pytać, czy niema tam jakiej przepowiedni co do szczęścia Wilji i Niemna, bo wszyscy byli smutni, że takie zgodne małżeństwo rozdziela się, a ich wody nie mogą swobodnie płynąć z powodu tam z kamieni i mułu. Wskutek tego, płyty przestały chodzić do morza, statki nie mogły przywozić towarów, i w całym kraju powstała wielka drożyzna i bieda.

Tak zawsze bywa, gdy się zakradnie niezgoda. Otóż ludzie znaleźli starą przepowiednię, że wszystkim będzie źle póty, póki nie oczyszczą dna rzek z mułu, gruzów, błota i kamieni, i póki obie rzeki zgodnie nie będą mogły płynąć i swobodnie stykać się z królem swoim, Bał-

tykiem, tak jak było dawniej, zanim zazdrośnicy wodę im pomącili.

Wilja wolna i wielka pracuje więc w ciszy aby oczyścić i wyrzucić z dna swego muł i dąży do Niemna i do morza.

A wiadomo, że kto szczerze pracuje ten prędzej czy później dobry cel osiągnie. Wierzymy więc, że wytrwałą pracę Wilji spotka zasłużona dobrze nagroda.

Helena Świeżyńska.

Historja Sycylijskiego osiołka.

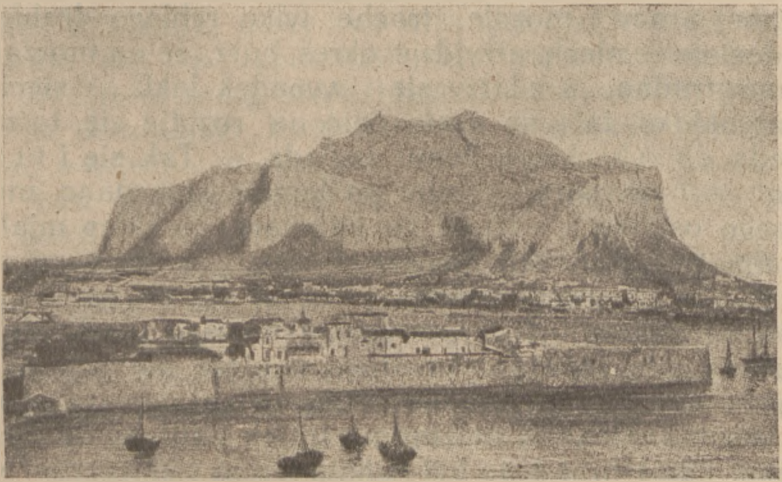
(Ciąg dalszy).

A było to tak! — Właścicielowi naszego osiołka poszczęściło się w interesach. W dodatku brat z Ameryki przysłał mu sporą sumkę dolarów. — Dokupili ziemi pod uprawę warzyw. Żona przestała prać bieliznę, a na niedzielne spacery kupiono mały powozik—na dwuch kołach z wielką budą. — Nie był on ani w połowie taki ładny, ani w dziesiątej części tak kolorowy jak carrozza, — niemniej jednak ona została do warzyw, a państwo jeździli powozikiem! —

Nasz osiołek, który swemu panu nawet do pasa nie sięgał, bardzo zabawnie wyglądał zaprzężony do tej lekkiej wprawdzie, ale wielkiej budy — ale wymuskany i odkarmiony, a mniej mający roboty niż dawniej, bo rozwożenie bielizny ustało, biegł tęgiego kłusa i doskonale się przedstawiał. —

Raz, gdy tak przez główną ulicę Palerma biegł, wioząc swych państwa na niedzielny spacer, jacyś cudzoziemcy, których we wszystkich miastach włoskich bardzo jest wiele, rozbawieni tem, że takie maleństwo ciągnie powozik i liczną rodzinę, zaczęli go sobie pokazywać palcami, zanosząc się od śmiechu. Pan osiołka wesoły i żywy Włoch, roześmiał się także i przejeżdżając koło cudzoziemców ukłonił im się z zabawną galanterją, — chcąc zwrócić uwagę, że ich drwinki zrozumiał i że sobie z nich nic

nie robi. Ale żona jego, która odkąd prać przestała, chciała wielką panią udawać, uczuła się tem głęboko dotknięta. I dopóty męczyła męża i uprzykrzała mu życie, aż kupił do powozu konia, a osiołek miał już tylko do rozwożenia warzywa służyć. — Ale przy takich zbytkach dolary się prędko skończyły, a warzywa po sezonie straciły cenę,



Palermo i góra Monte Pelegrino.

trzeba więc było robić oszczędności. Właściciel chciał sprzedać konia, ale żona uparła się — popierając swoje dowodzenia z iście włoskim temperamentem krzykiem i gestami! — Stanęło na tem, że sprzedano osiołka, ku rozpaczy Giacom'a, który pomimo swych dwunastu lat, oblał to rozstanie gorzkiemi łzami — i tuląc się do szyi kłapoucha obiecywał mu przerywanym łkaniem głosem — że jak tylko dorośnie to go z pewnością odkupi. —

Nasz kłapouchy przyjaciel dostał się najpierw do jakiegoś oślarza, to znaczy przewoźnika, który podróżnych na spacery na osiołkach woził. — Nosił tedy różnych cudzoziemców na Monte Pelegrino, górę, wznoszącą się tuż za miastem, — a czasem i dalej, aż do pięknego klasztoru w Monseale. — Cudzoziemcy wszystkiego są ciekawi. — Ale nie długo to trwało, bo nasz osiołek chociaż silny i wytrzymały, był trochę pod wierzch za niski, a zwła-

szcza za niepozorny — i zamorscy goście, którzy właśnie z pozorów sądzą, niechętnie go brali, co przewoźnikowi psuło interesy. — Sprzedał więc wkrótce osiołka rybakowi, który nim swoją zdobycz do miasta odwoził. Ale, wiadomo u rybaków różnie się dzieje! Raz, drugi i dziesiąty zdarzy się połów obfity, to i rodzina ma się dobrze, lecz niechno przyjdzie okres nieszczęśliwego połowu, kiedy to po całodziennej pracy i mozole, trochę tylko rybiego drobiazgu się dostaje,—niech przyjdzie okres burz, że na morze wyjechać trudno, a zdarzy się i wypadek jaki: — sieci się porwą, łódka falą na skałę rzucona rozbije się, to zaraz i bieda do rybackiego domu zagląda. — Tak się i tu zdarzyło. — I w parę tygodni po kupnie sprzedano znowu naszego osiołka. — Kupił go handlarz, co sklep miał kolonialny na krańcach miasta i towary z hurtowni przywoził nim do swego sklepu. Poznał się on na wartości osiołka i dobrze było zwierzęciu u nowego pana, ale widocznie sądzono mu było długo miejsca nie zagrzać, bo po paru miesiącach, handlarz sklep zwinął, towary wyprzedał, a z manatkami i rodziną na statek siadł, by do Tunisu jechać, gdzie brat jego był konduktorem elektrycznej kolei i gdzie się spodziewał lepsze na handlu zrobić interesy.— Jakeśmy już mówili, poznał się on na wartości osiołka, więc wziął go ze sobą. —

Pewnego tedy dnia nasz osiołek znalazł się w porcie, wraz z innemi osłami, mułami i końmi, czekając na załadowanie. — Opodal stał wielki statek towarowy, z którego właśnie wyładowywano transport wołów, na rzeź do Palermo przywiezionych. Z ciemnego wnętrza statku, wielki dźwig, poruszany korbą, z chrzęstem lin i łańcuchów wyciągał coraz to nową sztukę i spuszczał ją wolno na stojący tuż koło statku prom. Tutaj stojący człowiek zgrabnie odczepiał pętlę z rogów wołu. Oficer komenderował.— Korba znowu zaczynała się obracać i dźwig podnosił się w górę, tym razem lekko i swobodnie, by spuścić się znów do wnętrza statku i stamtąd wyciągnąć za rogi nowy wspaniały okaz. —

Biedny wół, w tak niewygodnej pozycji, z pętlą żelaznej liny tylko wokoło rogów uwiązaną, całym ciężarem ciała zwisał bezładnie w powietrzu, z nogami rozpostartemi

i mogę wam zaręczyć, bardzo głupią i nieszczęśliwą miną. Dźwig wznosił się z trzaskiem, tym razem trudniej i wolniej, a gdy doszedł do potrzebnej wysokości, tak iż nieszczęśliwą ofiarę mógł swobodnie nad burtą statku przenieść, na ponowny znak oficera, skręcał w bok i zaczynał się spuszczać na prom. — Wół jednak był tak przerażony i ogłupiały, że nawet gdy dotknął twardych desek promu—i mógł stanąć o własnej mocy i na własnych trzymać się nogach, zdawało się, że zapomniał niemi się posługiwać, plątał się, przebierał niezgrabnie nogami, i najczęściej przewracał się bezładnie, by dopiero po chwili oprzytomnienia. wstać o własnej mocy. —

Nasz osiołek patrzył na to, i dziwny niepokój ściskał mu serce. —

Czyżby i jego tak ładować mieli?— „Szczęściem niemam rogów", pomyślał i to znacznie dodało mu otuchy. Jakoż na szczęście niemiał rogów. — Nie ocaliło go to wprawdzie od załadowania, ale pozwoliło przebyć tę napowietrzną podróż w daleko wygodniejszy sposób. Mianowicie, przeciągnięto mu pod brzuchem dwie szerokie taśmy, związane nad grzbietem, które dźwig zaczepił swym potężnym hakiem i mały osiołek został uniesiony jak piórko w powietrzu i postawiony na pokładzie statku pasażerskiego, odpływającego do Tunisu i wraz z paru towarzyszami swego rodzaju przywiązany mocno do barjery. — Nie było to miłe, ale było to jeszcze niczem w porównaniu z tem, co go poźniej czekało, gdy statek ruszył zagwizdawszy przeraźliwie, gdy zaczął cały drgać od puszczonej w ruch śruby, a zwłaszcza, gdy wyjechawszy z portu, zaczął się kołysać i chwiać na obie strony.—

Biedny osiołek szarpnął się w przystępie rozpaczy i chciał uciekać! — Ale linka była mocno związana, a zresztą uciekać nie było gdzie, bo wszędzie wokoło szarzała i zieleniła się woda. Osiołek jednak nie chciał tego zrozumieć, szarpał się, zrywał i rżał przeraźliwie swoje „Shau, — Shau!" A tam w oddali coraz mniejsze, coraz mniej wyraźne widniało Palermo. — Na lewo kępa zielona botanicznego ogrodu, na prawo nagi, skalisty szczyt Monte Pelegrino, na którym bielał gzygzak serpentyną wznoszącej się drogi, — a w głębi gmachy, domy, szczyty kościołów

i wspaniałej katedry, na tle panoramy gór. — Wszystko to oddala się, ginie, chowa za Monte Pelegrino, koło którego statek skręca, kołysząc się coraz bardziej na zielonych falach. — Shau! — rży osiołek coraz żałośniej. — Było to jego ostatnie pożegnanie rodzinnego miasta.—

— Uspokój się—tłómaczy mu stary szpakowaty osioł — już trzy razy odbywałem podróż morską, prawda, że jest to bardzo nieprzyjemne, ale ostatecznie wytrzymać można. — A wszystko ma swój koniec! — Ale naszemu osiołkowi nie trafiają do przekonania te mądre słowa. — Jest mu źle! — Źle bardzo... jak jeszcze nigdy nie było.— Nawet wtedy, gdy po stronie zbocza ciągnął naładowaną po brzegi carrozz'ę, a dyszelki podrywały go w górę,— nawet wtedy, gdy musiał dźwigać na Monte Pelegrino jakąś ciężką niemiecką damę, okładany kijem przez przewodnika! — Wolałby tysiąc razy wrócić do tamtych czasów.—Tutaj niby stoi spokojnie bez wysiłku, ale jakiż lęk go ogarnia na widok tych grzebieniastych fal wokoło.— Jak mu się w głowie mąci od ciągłego kołysania — jak mu niedobrze — niedobrze... Biedny osiołek. — A tu tymczasem deszcz zaczyna padać i chłodną morką zacina.— Osiołek drży cały — chory i przemoknięty. Przymyka oczy by niewidzieć tych fal, wydaje mu się, że je ma przed sobą, że w nie wpada gdy się statek przechyla, trzyma się więc całą mocą swych kopytek na śliskich deskach i odciąga jaknajdalej, jak tylko linka pozwala od barjery. I tak przechodzi całe popołudnie. — Wieczorem, krótki postój w Trapanji, gdzie wyładowują szpakowatego towarzysza. — Osiołek aż drży z radości na myśl, że i on się na ląd dostanie, ale gdzie tam.—Na pokład wjeżdżają dwa muły. — Statek rusza i jadą dalej. — Fale jeszcze większe.—Noc czarna. Deszcz ciągle pada.—Morze ciągle szumi.—Biedne zwierzę ze strachu i choroby traci prawie przytomność i odrętwiałe, drżące stoi nawpół bez czucia.—

Ale miał słuszność szpakowaty osioł — Wszystko ma swój koniec. Nadszedł też koniec tej okropnej nocy, a ranek rozbłysł słoneczny — nad nieznanym błękitnym i złotym brzegiem Afryki. — Dojeżdżali do Tunisu.—

(d. c. n.).